Kraków, 15-go Sierpnia 1908 r.

Rok 4. Nr. 17.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do Nr. 33 „Prawdy."

DLA MATKI.

Dawna baśń czeska.

Była raz sobie uboga rodzina: stara matka z dwojgiem dzieci, córeczką Marysią i synkiem Jankiem. Ojca już nie miały biedne dzieci, śmierć go zabrała, a ludzie pochowali w ziemi. Nic im po nim nie zostało, tylko drewniana, pochylona chatka.

Chatka stała na skraju wielkiego lasu jak noc czarnego. Drzewa w tym lesie miały setki lat, a były tak wysokie, że wierzchołkami sięgały, zda się, obłoków. Cały dzień las szumiał aż ludzi strach przejmował, patrzyli na niego z daleka, lecz wejść się tam nikt nie odważał. Dziwne rzeczy opowiadali o tym lesie. W najgłębszej dolinie znajdowało się tam leśne źródełko, ale nawet w najjaśniejszy dzień słońce nie przeglądało się w jego kryształowych wodach, bo złota paproć zasłaniała je zupełnie, a woda ta miała moc cudowną, wracała podobno ludziom utracone zdrowie. Mało jednak komu udało się jej zaczerpnąć.

Dzieci słuchały z zajęciem opowiadań matki o tym lesie bezgranicznie wielkim i o cudownem źródle. W zimie, gdy na dworze wiał zimny wiatr północny, zasypując drogi śniegiem, gdy mróz na oknach porysował kwiaty, słuchało się im najlepiej, siedząc przy płonącem łuczywie. Las szumiał groźnie, a matka nieraz dzieciom mówiła, by o takiej porze nigdy do lasu nie wychodziły: „złe duchy

tam czatują, aby człowiekowi krzywdę wyrządzić. Nawet rusałce, która strzeże cudownego źródła, wierzyć nie można. Wielu już źródło pięknością swą zwabiło do lasu, gdzie wszakże wilkołaki ich rozszarpały". Jaś i Marysia z westchnieniem słuchali tych opowiadań.

W chacie często bywała bieda. Ostatniego roku był nieurodzaj, i dzieci nieraz głód cierpiały. W ślad za głodem przyszła choroba, zaniemogła ciężko sierotom matka. Żal dzieciom było matki, lecz pomódz jej nie umiały, po kątach tylko płakały, aby ich nie słyszała. Miłosierni ludzie przynosili im chleba i strawy. Przychodziła też stara Meta, która chciała matkę leczyć, bo znała się na różnych ziołach.

Razu jednego, odchodząc do domu, odwołała dzieci na bok, mówiąc:

— Biedne dzieci! już moje leki nic waszej matce nie pomogą, tylko woda z cudownego źródła może ją uzdrowić.

Gdy odeszła, dzieci stały chwilę przerażone, potem usiadły na progu i płacząc poczęły się naradzać, jakby to dostać tej cudownej wody.

— Słuchaj Maryś, jutro, gdy matka uśnie, pójdę do lasu, prosić będę dobrej wróżki, żeby mi wody ze źródła dała.

— Janku, co ty mówisz! chcesz, aby cię rusałka do głębi lasu zawiodła, żebyś nie wrócił więcej. Nie puszczę cię nie!

— Nie bój się, będziemy prosić Boga, żeby mnie strzegł i wrócę szczęśliwie, pocieszał Janek przestraszoną siostrę, aż ta wreszcie pozwoliła mu iść do lasu. Matka w nocy cierpiała bardzo, lecz ze wschodem słońca usnęła.

Jaś wyszedł z izby, za nim wybiegła Marysia, przyniosła mu dzbanek i dała kawałek czarnego chleba. Chłopak pożegnał siostrę i poszedł.

Długo chodził po lesie, wołał na wróżkę najsłodszemi słowy, nikt się nie odezwał. Widział wiele źródeł i strumieni, ale nad żadnym nie słaniała się złota paproć, nigdzie wody cudownej nie było. Im głębiej wchodził w las tem większe otaczały go ciemności. Zjadł już wszystek

chleb, był głodny, lękał się, żeby go noc nie zaskoczyła w tej groźnej pustyni. Chciał już nawet powracać z sercem pełnem żalu, że drogiej matce nie pomoże, ale im szybciej szedł, tem bardziej tracił nadzieję wybrnięcia z lasu. Już zaledwie drzewa dostrzegał przed sobą, taki mrok go otaczał. Przejął go niepokój i strach, w gardle mu zaschło, ledwo mógł oddychać, łzy mu napływały do oczu, nogi się trzęsły, upadł wreszcie, łkając.

— Boże, mój Boże, dopomoż mi, wyprowadź mnie z tego strasznego lasu, toż matuchna i Maryś umarłyby z żalu, gdybym tu zginął!

Lecz echo tylko odpowiadało na te słowa, w końcu z płaczu i zmęczenia chłopiec usnął. Spał długo, aż uczuł lekkie muśnięcie po twarzy, otworzył oczy i spojrzał w około, przed nim stała rusałka. Unosiła się nad mchem, w ręku trzymała złotą różczkę, którą dotknęła Jasia. Miała szatę lekką jak mgła, a patrzyła na chłopca z uśmiechem. Biedak zląkł się z razu, oczom wierzyć nie chciał, lecz gdy przetarł powieki i przekonał się o rzeczywistości widzenia, nabrał otuchy.

— Kiedy się tak mile uśmiecha, krzywdy mi nie zrobi — pomyślał.

— Czego żądasz ode mnie? — zapytała strażniczka źródła leśnego.

— Ach! wróżko dobra, jestem z chaty pod lasem, matka chora, i nic jej nie pomoże tylko cudowna woda, co wytryska ze źródełka pod złotą paprocią. Ty wiesz, dobra pani, gdzie jest to źródełko ukryte, pokaż mi i pozwól nabrać wody dla matki.

— Sam nigdybyś nie znalazł drogi, ale kiedy tak bardzo matkę kochasz, chódź, to ci pokażę źródło i wody zaczerpnąć pozwolę.

Janek poszedł za rusałką; ta niedługo stanęła pod wielkim dębem, różczką ziemię dotknęła i zaraz ukazało się źródełko wśród złotych paproci. Świeciło jaśniej, niż słońce i Janek stanął olśniony.

— No, prędzej zaczerpnij wody, dziecko! — wołała rusałka — śpiesz się nim północ nastanie.

Janek spostrzega dopiero, że nie ma dzbanuszka, musiał go zostawić na mchu, tam gdzie spał.

— Straciłem naczynie, nie mam w co wody zaczerpnąć — biadał.

— Podnieś muszlę, która leży na piasku przy źródle, i nabierz w nią wody; kilka kropel starczy dla uzdrowienia matki.

Chłopiec usłuchał, odgarnął paprocie i nabrał w muszlę wody. Była czysta jak kryształ, a lśniła jak srebro. Gdy wstał, wróżka dotknęła różczką ziemi i źródło zniknęło, potem skinęła na Janka, aby szedł za nią. Wzniosła się, i mknąc naprzód oświecała drogę swoją szatą. Tu Janek wspomniał opowiadanie matki i groza go przejęła.

— Teraz zaprowadzi mnie do lasu i odda na pastwę wilkołakom.

I dreszcz go przejął. Chciał krzyknąć na wróżkę, ale zanim się ośmielił, był już na skraju lasu i ujrzał zdaleka światło: to ogień w ich chatce. Chciał wróżce podziękować, ale jej już nie było, został sam. Wszystko wydało mu się snem, tylko muszla którą trzymał w ręku świadczyła o rzeczywistości jego przygody. Szybko biegł ku chatce, kierując się światełkiem z okienka.

Za chwilę był już Janek w domu, zlekka zastukał, żeby nie obudzić śpiącej matki. Marysia oczekiwała go z niepokojem i natychmiast drzwi otworzyła.

Trudno opisać uszczęśliwienie dzieci, gdy podały matce cudowną wodę, a ona wstała zaraz zupełnie zdrowa. Jaś i Marysia płakali z radości, na klęczkach dziękując Bogu. Jakże się zdziwili, gdy spojrzawszy na stół ujrzeli muszlę, którą Janek przyniósł. Była ze szczerego złota, a ziarnka piasku zmieniły się w perły.

Odtąd nędza opuściła ich chatę, odeszła do lasu, gdzie może ją wilkołak udusił, bo już więcej do nich nie wróciła.

Tak to Pan Bóg nagradza miłość i poświęcenie dzieci dla rodziców. A jeśli nie dzieje się to za pośrednictwem wróżek, jak głosi stara baśń ludowa, ma On niezliczone sposoby okazywania Swej łaski.

Józio przy pacierzu.

— Któż przerywa paciorek? mów ładnie za mną.
Bo się Bozia rozgniewa, a ja nie popieszczę.
Powtórz: chleba naszego... no! powtórz to samo!
A teraz: powszedniego... trzeba dodać jeszcze.
Nie chcesz?... ej, bo ci różczką spędzę z noska muchy.
Co tam mruczysz po cichu? Patrz, lampa już zgasła...
— Bo... widzi mamunieczka, niedobry chleb suchy.
Ja proszę cicho Bozi: żeby dodał masła...

Pierwsze ofiary żeglugi powietrznej.

Jedną z najpierwszych ofiar żeglugi powietrznej był Rozjer, ten sam, który pierwszy z ludzi odważył się puścić w powietrze balonem.

Dzielny ten człowiek powziął śmiałą myśl przelecenia balonem ponad morzem, z Francyi do Anglii. Wystarawszy się o zasiłek rządowy, Rozjer zaczął razem z niejakim Romanem budować balon. Gdy oni zajęci są przygotowaniem do podróży, tymczasem inny francuz, Blanszard, wznosi się balonem z Anglii i, po wielu niebezpieczeństwach, spada szczęśliwie na brzeg Francyi. — Zmartwiony tem, że uprzedził go kto inny, Rozjer chciał się cofnąć; ponieważ jednak rząd domagał się zwrotu zaciągniętej pożyczki, a Rozjer część pieniędzy już wydał, — nie było innej rady, jak puścić się na niebezpieczną wyprawę, pomimo że balon przez długie oczekiwanie był nieco popsuty. 15 czerwca 1785-go roku Rozjer z Romanem wsiedli do łódki balonu. Odczepiono sznury... Balon przy huku armat i oklaskach widzów wzniósł się prosto w górę... Upłynął jeszcze kwadrans; oklaski zgromadzonego tłumu nie ustawały; życzenia i spojrzenia wszystkich zwracały się ku podróżnym: gdy nagle dał się słyszeć przeraźliwy okrzyk trwogi, zwiastujący wielkie nieszczęście. Nadpsuty balon pękł w górze i spadał wskutek uchodzenia gazu... Niepodobna opisać, z jak szaloną szybkością spadała łódka z nieszczęśliwymi żeglarzami. Dreszcz przejął widzów,

pociemniało im w oczach; myśli mięszały się wobec tego okropnego wypadku. Po pierwszem wrażeniu, rzucili się wszyscy ku miejscu, gdzie spadł balon... Przedstawił się im straszny obraz: Rozjer połamany, z pogruchotanemi kośćmi, wysadzonemi z ciała, już nie żył; Roman, okropnie potłuczony, przez kilka chwil tylko dawał jeszcze znaki życia.

Niemniej okropną śmiercią zginęła pani Blanszard, dzielna żeglarka, wdowa po owym Blanszardzie, który pierwszy przebył morze balonem i w jednej z ostatnich swych wycieczek powietrznych został sparaliżowany. Wzniósłszy się w górę balonem, pani Blanszard zaczęła rzucać ztamtąd ognie sztuczne, czyli fajerwerki. Prześlicznym był widok tego balonu, sypiącego z góry snopami żywych iskier. Niestety! przez nieostrożność żeglarki zapalił się gaz w balonie. Płonący balon, niby wielka płomienna kula, spadał wprawdzie powoli, lecz w ostatniej chwili łódka zaczepiła się o hak jakiegoś dachu i nieszczęśliwa kobieta spadła na bruk, rostrzaskując sobie czaszkę na drobne kawałki.

Inny wypadek, mniej straszny, zdarzył się niejakiemu Urbanowi, który w roku 1846 puścił się balonem z miasta Tryestu we Włoszech. Wyjazd naznaczony był na godzinę 4-tą popołudniu. Tymczasem rura, doprowadzająca gaz, zepsuła się i o 6-tej balon jeszcze nie był gotów. Publiczność, zniecierpliwiona, zaczęła szemrać i grozić, łżąc Urbana, jako oszusta i tchórza. Oburzony tem, postanawia on wyruszyć bądź co bądź! Przytwierdza łódkę, lecz balon, niedość wypełniony, nie może unieść jej w górę. A tłum krzyczy i urąga coraz więcej... Rozjątrzony Urban odwiązuje łódkę, czepia się obręczy, przytrzymującej sznury, i tak bez łódki, bez kotwicy wznosi się w powietrze.

Przez parę godzin balon bujał ponad falami, aż około osmej wieczorem wpadł w morze, przerzucając się z fali na falę, z uczepionym do sznurów Urbanem. O jedenastej siły opuszczają nieszczęśliwego; już ma zginąć, gdy nagle ukazuje się czółno z dwoma rybakami, którzy nawpół żywego zabierają na swój statek.

Wzór wytrwałości.

Słysząc nieraz lub czytając o ludziach uczonych, pisarzach, wynalazcach, i t. p., myślimy:

— Ha! oni już od natury obdarzeni byli wyjątkowemi zdolnościami; nam zwykłym śmiertelnikom, niepodobna zajść tak daleko.

Niezawsze jednak tak bywa, zdarza się bowiem, że ci ludzie wielcy, zasłużeni, pracą tylko, wytrwałością i siłą woli, doszli do znaczenia i sławy, nie rozporządzając niekiedy takiemi zasobami talentu i zdolności, jakie marnują się często u ludzi leniwych, lub lekkomyślnych.

Ludwik Lesage, znany matematyk genewski, nie okazywał nigdy wielkich zdolności, a przytem posiadał bardzo a bardzo słabą pamięć. Ojciec jego udzielał lekcye matematyki i fizyki, syna też swego najwięcej kształcił w tym kierunku, nie zaniedbując jednakże zapoznawania go z innemi gałęziami wiedzy. Nauki wszelako szły chłopczynie dość ciężko, z natężoną uwagą słuchał nieraz wykładu ojca, pomimo to, wkrótce, ta lekcya wyszła mu całkiem z pamięci. Nie zrażał się tem jednak pilny uczeń, nie tracił chęci do nauki, lecz starał się ułatwić ją sobie wszelkiemi sposobami: zaczął szukać związku pomiędzy wyrazami, zdaniami, faktami, zastanawiał się nad wszystkiem. myślał wiele i rozumował, a nie mogąc w wielu razach zapamiętać szczegółów, podciągnął je pod wyobrażenia ogólne. I rzeczywiście, mimo braku pamięci i wybitniejszych zdolności, zakres jego wiedzy ciągle się rozszerzał. Często też notował sobie i zapisywał wiele rzeczy, szczególniej zaś to, co sam spostrzegł, lub wyrozumował w tajemnicach przyrody.

Jeżeli nie mógł czegoś zrozumieć odrazu, powracał do tego samego przedmiotu kilka lub kilkanaście razy, aż w końcu wytrwałość zwyciężyła. Gdy nadszedł dzień taki lub godzina, w których umysł jego stawał się zdolniejszym do myślenia, wtedy nie tracił ani chwili, pracował bez wytchnienia, uczył się i zastanawiał i istotnie z łatwością nieraz zrozumiał i przyswoił sobie to, co wpierw niepojętem mu sie wydawało. Kształcąc się w ten sposób coraz

wyżej i posiadając zawsze gorącą chęć docieczenia prawdy, zaszedł w naukach bardzo daleko, a nawet poczynił różne odkrycia i wynalazki.

Nietylko więc wyjątkowe zdolności wytwarzają ludzi uczonych, praca jest właśnie najpierwszym warunkiem zdobycia wyższej wiedzy, a tem samem i sławy, w jakimkolwiek kierunku.

Porządny chłopiec.

Władzio miał ubogich rodziców, którzy, choć mieszkali szczupło a nawet ciasno, jednakże zawsze był u nich porządek i czystość.

Gdy kto wszedł do izby, obaczył każdą rzecz omytą i na swojem miejscu; nigdzie nie było brudu i kurzu i zaraz z rana wszystko uprzątnięte, łóżko posłane i izdebka przewietrzona, bo wiedziano dobrze, że:

Zdrowie u tych w lepszym stanie,
Którzy wietrzą swe mieszkanie.

Władzio także miał swoje rzeczy w największym ładzie, bo się zawczasu przyzwyczaił porządku, ochędóstwa i czystości. Nigdy nie wyszedł z domu do szkoły lub znajomych swoich i z rozczochranymi włosami, nieumytą twarzą i brudnymi rękami. Sam sobie co rano czyścił buty, sam czyścił suknie i nigdy nie widziano plam u niego, dla tego był wzorem dla swoich rówienników. Powróciwszy do domu czapki także nie rzucał byle gdzie, albo pod łóżko, atramentem nie plamił się nigdy, zawsze chusteczkę miał do nosa schowaną, po książkach nie rysował i wszystkich napomniał, co to lubią rysować po murach i parkanach, aby tego nie robili.

Gdy się mu zrobiła dziurka w ubiorze, zaraz prosił Mamy, żeby ją naprawiła i dlatego ubiór wystarczył mu na długo.

To też Władzio uczył się pilnie i wyrósł na bardzo porządnego i pracowitego człowieka i stał się pociechą dla rodziców, powtarzając zawsze: „choć ubogo, lecz chędogo.“

Józef Chmielewski.